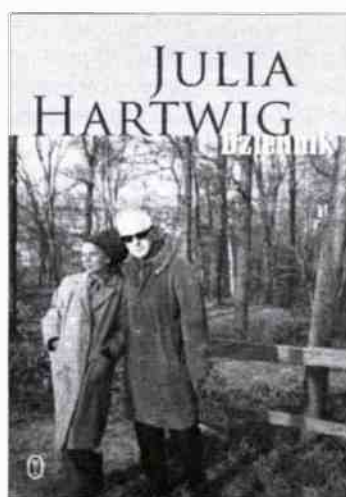


Kolekcja sreber

Anna Romaniuk



Nowa książka Julii Hartwig nosi tytuł *Dziennik*, choć gdy się nad tym dobrze zastanowić, „dziennikiem” jest tylko w niewielkim stopniu. Owszem, autorka „*pisze skrupulatnie rok przy dacie*”, ale to, co po owej dacie następuje, w większości przypadków nie dotyczy „tu i teraz”, znacznie częściej „tam i wtedy”.

Dziennik zdominowany został przez zapiski z lektur, zdystansowany otwierającą tom obszerną retrospekcją lat 50., wypełniony portretami dawnych przyjaciół i wymkami z biografii podziwianych twórców, streszczeniami czytanych artykułów, sprawozdaniami z podejmowanych prac literackich, opisami pogody, własnymi szkicami publikowanymi w prasie. Ta pojemność formy staje się w miarę lektury jego zaletą i wadą. Bardzo szybko pojawia się wątpliwość co do celowości niektórych fragmentów. I natrętna myśl, czy z tym dziennikiem nie jest, jak z opisanymi przez autorkę srebrami widzianymi w sztokholmskich sklepikach ze

starociami: „*Patrzę na te przedmioty, potrafię je ocenić, budzą we mnie podziw, nawet sympatię, ale dawny zapal osłabł, minęła pora zbierania, gromadzenia, teraz trzeba myśleć, jak się rzeczy pozbywać, wciąż jest ich za wiele*”.

Trudno dostroić się do zmienności czasu i miejsca w zapiskach Hartwig: teraźniejszość wydaje się najmniej ważna, co rusz ustępując miejsca przeszłości, Polska stanowi tło dla podróży niedawnych i tych przywoływanych z pamięci.

Ramą czasową *Dziennika* są lata 2008–10, ale właściwie swą narrację Hartwig rozpoczyna od 1945 r., opisując lubelski debiut, studia na KUL, kontynuowane w Krakowie, pokój w Domu Literatów na Krupniczej, Łódź – współpracę z „*Kuźnicą*”, „*Odrodzeniem*” i „*Wsią*”, pierwsze przekłady z poezji francuskiej; odnotowując krótkie małżeństwo z Zygmuntem Kałużyńskim. Obszerny fragment, a i wiele późniejszych dygresji, związany jest z latami 1947–50 – okresem pobytu we Francji na stypendium rządu francuskiego. Z sentymentem opisuje poetka ówczesne studia i ważne lektury, odkrycie malarstwa i muzyki, dodaje interesujący wątek pracy na stanowisku referentki do spraw kultury w ambasadzie polskiej w Paryżu.

Kolejny okres, do którego odwołuje się autorka *Dziennika*, to lata 1950–68 – przymusowy powrót z Francji do Polski, ślub z Arturem Międzyrzeckim, narodziny córki. W 1956 r. debiut tomem wierszy *Pożegnania*, szczęśliwy czas zakończony rokiem 1968 i wyjazdem Międzyrzeckiego do Stanów Zjednoczonych. Poetka wraz z córką dołączyły do niego w 1971 r., rozpoczynając tym samym nową, amerykańską epokę w życiu rodziny. Julia Hartwig opisuje również dylematy związane z powrotem do Polski w 1974 r. Oddaje szok stanu wojennego.

W jej dziennikowych zapiskach mieszają się wydarzenia polityczno-społeczne (te należące do historii i te współczesne zapiskom, jak dyskusja wokół książki Jana Tomasza Grossa *Strach*, prezydentura Lecha Kaczyńskiego, wybór na prezydenta USA Baracka Obamy, katastrofa smoleńska), kulturalne (np. zmiany w profilu „*Tygodnika Powszechnego*”, konflikt Miłosa–Herbert, jurorowanie w Nagrodzie Mediów, spotkania autorskie oraz udział w festiwalach poetyckich w Polsce i za granicą, spory wokół książki *Non-fiction* Domostławskiego) i prywatne (88. urodziny, przygotowanie do pu-

blikacji listów Miłosa do Międzyrzeckiego, kłopoty zdrowotne, honorowe obywatelstwo Lublina, 13. rocznica śmierci męża, odwiedziny córki mieszkającej na stałe w USA).

Ten obraz lat minionych i obecnych uzupełniają portrety lub szkice do portretów osób poetce bliskich, zaprzyjaźnionych, cenionych, spotkanych. Niekiedy są to wspomnienia – nekrologi: Gustawa Holoubka, Aliny Margolis–Edelman, Ireny Sendlerowej, Bronisława Geremka, Lidii Bocheńskiej, Leszka Kołakowskiego, Barbary Skargi, Marka Edelmana, Elżbiety Czudzyńskiej, Kazimierza Romanowicza. Trudno nie zgodzić się z Julią Hartwig, gdy pisze: „*W przyjaźniach nie ma hierarchii, ale jakie bogactwo, kiedy je po latach wspominąć*”.

Jeśli dodać do tego zarysowaną w *Dzienniku* mapę podróży autorki (dawnych i współczesnych, odległych i bliskich), to otrzymamy całość niezwykle rozległą i różnorodną.

Dziennik ten wypełniony jest również twórczością cudzą, będąc w dużej mierze, jak już wspomniano, dziennikiem lektur, słuchania muzyki, kontemplacji malarstwa. Julia Hartwig pisze też o własnej pracy literackiej, będącej wciąż wyzwaniem i niezmiennie dającej wiele satysfakcji i radości. W tym duecie dzieła cudzego i własnego jedno karmi się drugim i jedno z drugiego wypływa, podobnie jak w wierszach autorki *Gorzkich żalów*. W zapiskach Hartwig – czytelniczki znajdujemy również echo żywotnego nurtu współczesnej literatury – mody na literackie dokumenty osobiste: dzienniki, biografie, autobiografie, tomy korespondencji. Są zatem w jej *Dzienniku* świadectwa lektury dzienników cudzych: Virginii Wolff, Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Józefa Szczepańskiego, Andrzeja Kijowskiego. W przypadku pisarzy polskich, znanych Hartwig osobiście, konfrontuje ona zapiski dziennikowe czy też bardziej obraz ich autorów z własnymi wspomnieniami i wiedzą środowiskową. Uzasadnia te biograficzne tropy w dwu notatkach z 2008 i 2009 r., pisząc: „*Odkrycie związku między wierszem a wydarzeniem znanym z życia poety sprawia szczególną przyjemność, dającą nam złudzenie jakby rzeczywistego współistnienia z twórcą*”. Oraz: „*Nie jest konieczne, żebym wiedziała, iż Henry James czy Hopkins interesowali się młodymi mężczyznami, choć lektura ich dzieł układać się będzie dla mnie odtąd nieco odmiennie niż przed pozyskaniem tej wiedzy. (...) Jakkolwiek jednak oszdzalibyśmy te wiadomości, wzbogacając one naszą dotychczasową wiedzę, odświeżając ją i na nowo stawiając na porządku dziennym*”. A jednak surowo ocenia odbierane jako kontrowersyjne, a przecież jak wiele mówiące, dzienniki Iwaszkiewicza z Kijowskiego. Rozważa wieloaspektowo wartość literacką

i psychologiczną ich zapisków. Ważne jest dla niej również zagadnienie odbioru dziennikowych wynurzeń przez późniejszych czytelników, zwłaszcza tych opisywanych na stronach diariusza (kategoria „*krzywdzi/ nie krzywdzi*”). Jasno przy tym widać, że Julia Hartwig wyżej niż kategorię szczerości (szczerości „*aż do bólu*”) stawia dobry ton i styl, oddając w swoim *Dzienniku* „*Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie*”.

Ozdobą *Dziennika* Julii Hartwig są fotografie, w większości pochodzące z jej prywatnego archiwum. Piękne portrety i spontaniczne ujęcia. Zamieszczone w tomie zdjęcie datują się od 1954 r., a zabawny portret roześmianej, zadziornej dziewczyny stojącej w pełnym słońcu, który otwiera rozdział *Początki*, wydaje się nawet o kilka lat wcześniejszy. Najpóźniejsze z nich jest półformalne ujęcie sędziwej poetki (2010) siedzącej w półcieniu na ogrodowym, plastikowym fotelu, nad stawem (w Oborach?), z książką na kolanach, z uśmiechem mówiącej coś do osoby stojącej poza kadrem. Pomiędzy nimi niemal sześćdziesiąt lat. Fotografie, które Hartwig wybrała do tomu, dają skrót znaczącej części jej biografii, prywatnej i publicznej. Można na nich dostrzec również to, czego właściwie nie znajdziemy w treści diariuszowych zapisków.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że fragmenty współczesne *Dziennika* narzucone zostały przez formę literacką, choć to forma im służyć powinna. Ten dziennik to w rzeczy samej zasłona, a nie wyznacznik: Hartwig kryje samą siebie, znacznie bardziej niż w swych wierszach, za pozorną otwartością. Szczególnego znaczenia nabiera wobec tego jedna z notatek autorki: „*Trafiałam na starą, pocziwą komedię, (...) zobaczyłam w niej Katharine Hepburn i Cary'ego Granta. Nikt z aktorów nie umie dziś zachowywać się jak oni. Wdzięk i dobre wychowanie. Bolesne porównanie z oglądanym kiedy indziej fragmentem innego filmu, w którym w roli drugoplanowej wystąpiła Katharine Hepburn, już jako staruszka. Nie do rozpoznania. (...) Ale nadal wiarygodna, i właśnie godna, z wciąż żywym poczuciem humoru, zaprawionego doświadczeniem wieku*”. A zatem wdzięk, dobre wychowanie, wiarygodność, godność i poczucie humoru. Taka chce być Julia Hartwig w swoim dzienniku. Ofiarowuje czytelnikom bardzo wiele, ale nie to, co jest najcenniejsze, a co tak trudno zdefiniować. Daje tylko tyle, ile uważa za stosowne, dlatego może w odróżnieniu od kilku innych opublikowanych ostatnio utworów tego gatunku jej dziennik nie stanowi przeżycia. Julia Hartwig to, co najważniejsze, zostawia dla siebie. Jak pisze: „*Dziennik miał być pretekstem do rzucania wspomnień o ludziach*”. I chyba mimo wszystko tylko pretekstem pozostał. □

Julia Hartwig

DZIENNIK

Kraków : Wydaw. Literackie, 2011. – 461 s. : il.

; 22 cm. – Zł 49,90

821.162.1(091):929”20”A/Z